



**GEORGE
ORWELL**

Birmańskie dni

[Kup książkę](#)

**GEORGE
ORWELL**

Birmańskie dni

Przekład
Paweł Lipszyc

vis-à-vis
et u d a

Kraków 2023

[Kup książkę](#)

Tytuł oryginału: *Burmese Days*

[Kup książkę](#)

„Co w tej dalekiej, niedostępnej puszczy,
W posepnym cieniu dębów starożytnych”
— *Jak wam się podoba*¹

¹ W. Shakespeare, *Jak wam się podoba*, tłum. L. Ulrich, akt 2, scena 7.
Wolne lektury. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

ROZDZIAŁ 1

U Po Kyin, młodszy sędzia okręgu Kyauktada w Górnej Birmie, siedział na swojej werandzie. Co prawda było dopiero wpół do ósmej, ale przytłaczające kwietniowe powietrze groziło długim dusznym dniem. W porównaniu z ciepłym powietrzem rzadkie podmuchy wiatru, kołyszące zwisającymi z okapów orchideami, wydawały się chłodne. Za orchideami widniała pokryta pyłem przekrzywiona palma, dalej zaś rozpalone niebo w kolorze ultramaryny. W zenicie, tak wysoko, że patrzenie na nie oślepiało, krążyło kilka sępów, nie poruszając skrzydłami. Podobny do wielkiego porcelanowego bożka U Po Kyin wpatrywał się bez zmruczenia powiek w ostre słońce. Ten pięćdziesięcioletni mężczyzna, tak tłusty, że od lat nie wstawał z krzesła bez pomocy, był mimo to kształtny, a nawet piękny w swojej otyłości, ponieważ Birmańczycy nie klapną ani nie nadymają się jak biali, ale tyją symetrycznie niczym dojrzewające owoce. Twarz miał olbrzymią, żółtą, całkowicie pozbawioną zmarszczek, oczy płowe. Stopy – drobne stopy z wysokim podbiciem i palcami jednakowej długości – miał bose, krótko ostrzyżoną głowę gołą; nosił kraciasty arakański *longi*² w kolorze fuksji i zielonym, nieformalny strój birmański. U Po Kyin żuł betel z lakowej skrzyneczki na stole i rozmyślał o swoim przeszłym życiu.

A było to istne pasmo sukcesów. Najwcześniejsze wspomnienie U Po Kyina pochodziło z lat osiemdziesią-

² Longi – męski strój birmański.

tych dziewiętnastego stulecia, kiedy jako goły chłopiec z wyдутym brzuchem patrzył na oddziały brytyjskie wkraczające do Mandalaj. Pamiętał grozę, jaką budził w nim widok kolumn tych olbrzymich, odżywiających się wołowiną mężczyzn o czerwonych twarzach, w czerwonych mundurach; długich karabinów na ramionach i rytmicznego tupotu buciorów. Po kilkuminutowej obserwacji chłopak czmychnął. Na swój dziecinny sposób pojął, że jego naród nie ma szans w konfrontacji z rasą olbrzymów. W dziecku zrodziła się w ambicja, by walczyć po stronie Brytyjczyków i na nich pasożytować.

W wieku siedemnastu lat ubiegał się o rządową posadę, ale nie udało mu się wcisnąć, był bowiem biedny i brakowało mu wpływowych przyjaciół. Przez trzy lata pracował w cuchnącym labiryncie bazarów Mandalaj, prowadził księgi rachunkowe handlarzom ryżu, czasem kradł. Kiedy skończył dwadzieścia lat, dzięki udanemu szantażowi wszedł w posiadanie czterystu rupii, natychmiast wyjechał do Rangunu i wykupił się w rządową posadę. Praca lukratywna, choć pensja nieduża. W tamtych czasach grupa urzędników czerpała regularne zyski, przeniewierzając zaopatrzenie sklepów rządowych, a Po Kyin (wtedy po prostu Po Kyin, szacowny tytuł U pojawił się później) w naturalny sposób przyswoił sobie ten proceder. Miał jednak zbyt wielki talent, by wieść życie urzędnika, podkradając marne anny i paisy³. Pewnego dnia dowiedział się, że rząd, z uwagi na niedobór urzędników niższego szczebla, zamierza dokonać rekrutacji. Wiadomość miała zostać ogłoszona publicznie tydzień później, ale dzięki swym zdolnościom Po Kyin był zawsze poinformowany

³ Anna (lub ānna) była walutą w Indiach brytyjskich, równą szesnastej części rupii. Dzielila się na cztery paisy.

z tygodniowym wyprzedzeniem. Wykorzystując sposobność, wydał współników, zanim zdążyli wszcząć alarm. Większość posłano do więzienia, a w uznaniu zasług Po Kyina mianowano zastępcą naczelnika okręgu miejskiego. Od tamtej pory stale piał się w górę. Obecnie, w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, piastował stanowisko młodszego sędziego okręgu; prawdopodobnie awansuje na zastępcę komisarza, a wówczas Anglicy staną się równi lub wręcz zaczną mu podlegać.

Jako sędzia kierował się prostymi metodami. Prowadzonej sprawy nie sprzedawał nawet za najwyższą łapówkę, wiedział bowiem, że przekupnych sędziów prędzej czy później przylapywano. U Po Kyin postępował znacznie bezpieczniej: brał pieniądze od obu stron, po czym rozsądzał, ściśle przestrzegając litery prawa. Dzięki temu zaskarbił sobie pożyteczną opinię człowieka bezstronnego. Oprócz opłat pobieranych od stron nakładał swoisty podatek na wszystkie wioski podlegające jego jurysdykcji. Jeśli jedna z wiosek nie płaciła daniny, U Po Kyin podejmował odpowiednie kroki: na wieśniaków napadały bandy rzezimieszków; prowodyrów aresztowano pod fałszywymi zarzutami i danina wkrótce zostawała zapłacona. Ponadto miał udział w największych kradzieżach w okręgu. O większości tych spraw wiedzieli oczywiście wszyscy z wyjątkiem przełożonych U Po Kyina (żaden brytyjski urzędnik nie da wiary w zarzuty wobec swoich podwładnych), ale próby zdemaskowania go nieodmiennie spełzały na niczym; zbyt wielu miał zwolenników, których lojalność kupował za część łupów. Kiedy wnoszono przeciw niemu oskarżenie, U Po Kyin dyskredytował powoda przy pomocy podstawionych świadków, następnie wnosił

kontroskarżenia, które dodatkowo umacniały jego pozycję. Z czasem stał się praktycznie nietykalny, ponieważ błędnie oceniał, jaki błąd popelnią przeciwnicy, a poza tym tak głęboko tkwił w intrygach, że nie potykał się z powodu nieuwagi czy niewiedzy. Z dużą dozą pewności dało się orzec, że U Po Kyinowi nie groziło zdemaskowanie; czekało go nieprzerwane pasmo sukcesów zakończonych śmiercią w zaszczytach, z majątkiem kilkuset tysięcy rupii.

Jego powodzenie miało trwać nawet w życiu pozagrobowym. Zgodnie z wierzeniami buddyjskimi ludzie, którzy za życia wyrządzali zło, mieli się odrodzić w postaci szczura, żaby czy innego zwierzęcia. U Po Kyin, jako dobry buddysta, zamierzał się zabezpieczyć przed tą przykrą ewentualnością. Ostatnie lata życia poświęcił na dobre uczynki, których zasługi przeciwwagały resztę życia. Może zajmie się wznoszeniem pagód. Cztery pagody, pięć, sześć, siedem – kapłani podpowiedzą mu ile – z rzeźbionymi murami złożonymi parasolami i dzwoneczkami dzwoniącymi na wietrze, a każdy dźwięk to modlitwa. U Po Kyin powróci na ziemię w ciele mężczyzny – ponieważ kobieta stoi w zasadzie na równi ze szczurem czy żabą – albo, w najlepszym razie, jako szacowne stworzenie, na przykład słoń.

Wszystkie te myśli szybko przepływały przez umysł U Po Kyina, w przeważającej mierze w postaci obrazów. Jego mózg, choć przebiegły, był całkiem barbarzyński i pracował wyłącznie w określonym celu; zwyczajna medytacja była mu obca. Oto dotarł do punktu, do którego zmierzały jego myśli. Kładąc drobne, trójkątne dłonie na oparciach krzesła, odwrócił się nieznacznie i zawołał z lekką zadyszka:

– Ba Taik! Hej, Ba Taik!

Ba Taik, służący U Po Kyina, wyłonił się zza zasłony z paciorków na werandzie. Dziobata twarz drobnego człowieczka wyrażała lękliwość i głód. U Po Kyin mu nie płacił, ponieważ Ba Taik był skazanym złodziejem i wystarczyło słowo, by posłać go za kraty. Teraz służący zbliżał się, bijąc tak niskie pokłony, że wydawało się, jakby się cofał.

– Najświętszy boże? – zapytał.

– Czy ktoś pragnie się ze mną zobaczyć, Ba Taiku?

Ba Taik wyliczył petentów na palcach:

– Przyszedł nadzorca z wioski Thitpingyi z prezentami, wasza miłość, dwaj wieśniacy oskarżeni o napad, których wasza miłość ma sądzić, też z podarkami. Ko Ba Sein, główny urzędnik z biura zastępcy komisarza, chce się zobaczyć z waszą miłością, konstabl Ali Shah oraz bandzior, którego imienia nie znam. Chyba pokłócili się o złote bransolety, który ukradli. Jest jeszcze młoda wieśniaczka z niemowlęciem.

– Czego ona chce? – zapytał U Po Kyin.

– Twierdzi, że dziecko jest twoje, wasza miłość.

– Aha. Ile przyniósł nadzorca?

Ba Taik odparł, że tylko dziesięć rupii oraz koszyk mango.

– Powiedz nadzorcy, że ma być dwadzieścia rupii, a jeśli pieniądze nie znajdą się tu do jutra, jego i jego wioskę czekają kłopoty. Później przyjmę pozostałych. Wezwij Ko Ba Seina.

Po chwili pojawił się Ko Ba Sein. Wyprostowany jak struna, o wąskich ramionach i niezwykle wysoki jak na Birmańczyka, miał osobiwie gładką twarz przywodzącą na myśl budyń kawowy. U Po Kyin posługiwał się Ko Ba

Seinem jak użytecznym narzędziem. Temu pozbawionemu wyobraźni, pracowitemu, świetnemu urzędnikowi zastępca komisarza pan Macgregor powierzał większość oficjalnych tajemnic. U Po Kyin, wprawiony w dobry nastrój miłymi myślami, powitał Ba Seina śmiechem i machnął dłonią w stronę skrzyneczki z betelem.

– I cóż, mój Ko Ba Seinie, jak postępuje nasza sprawa? Mam nadzieję, że, jak by powiedział drogi pan Macgregor – U Po Kyin przeszedł na angielski – rąbamy znaczące postępy?

Drobny żart nie wywołał uśmiechu na twarzy Ba Seina. Siadając z wyprostowanymi plecami na wolnym krześle, odparł:

– Doskonale, proszę pana. Dziś rano nadeszła gazeta. Będzie pan łaskaw spojrzeć.

Ko Ba Sein wyjął dwujęzyczną gazetę *Burmese Patriot*. Ta żalosna ośmiostronicowa szmata, haniebnie drukowana na papierze nie lepszym niż bibuła kancelaryjna, składała się częściowo z wiadomości zwędzonych z *Rangoon Gazette*, częściowo z mdłych nacjonalistycznych pokrzykiwań. Na ostatniej stronie czcionka się obsunęła, zaczerpnijac cały papier, jakby oplakując niski nakład gazety. U Po Kyin zatrzymał wzrok na artykule wydrukowanym inną czcionką niż reszta. Przeczytał:

W tych szczęsnych czasach, kiedy my, biedne brudasy, możemy zakosztować postępu dzięki potężnej cywilizacji zachodniej z jej licznymi błogosławieństwami, takimi jak kinematograf, karabiny maszynowe, syfilis itp., jakież temat mógłby być bardziej inspirujący niż życie prywatne naszych europejskich dobroczyńców? Dlatego uznaliśmy, że naszych czytelników

ków zainteresują wydarzenia w północnym okręgu Kyauktada. A w szczególności sprawy dotyczące pana Mcgregora, szacownego zastępcy komisarza wyżej wymienionego okręgu. Pan Macgregor jest znakomitym przykładem starego dobrego angielskiego dżentelmena, jednym z licznych, jakie możemy podziwiać w tych szczęśliwych czasach. Jest „człowiekiem rodzinnym”, jak mawiają nasi drodzy angielscy kuzyni. O tak, pan Macgregor jest niezwykle rodzinnym członkiem. Do tego stopnia, że w okręgu Kyauktada ma już troje dzieci, a spędził tam zaledwie rok; w poprzednim okręgu Shwemyo pozostawił aż szóstkę potomstwa. Może pan Mcgregor przeoczył, że zostawił te dzieci bez środków do życia, a niektórym z ich matek grozi głód, itp., itp., itp.

W gazecie zamieszczono cała szpalnę podobnych rewelacji, co prawda żalonych, ale i tak górujących poziomem nad resztą. U Po Kyin uważnie przeczytał artykuł, trzymając gazetę w wyciągniętej ręce – był dalekowidzem – w zamyśleniu cofał wargi, odsłaniając liczne drobne, doskonale zęby, krwistoczerwone od soku betelowego.

– Redaktor dostanie za to sześć miesięcy więzienia – oświadczył w końcu.

– Nie ma nic przeciwko temu. Twierdzi, że tylko za kratkami wierzyście dają mu spokój.

– I twierdzisz, że twój mały terminator Hla Pe własnoręcznie napisał ten artykuł? Co za bystry chłopak, naprawdę obiecujący! Niech nikt nie mówi, że rządowe licea to strata czasu. Hla Pe z pewnością otrzyma urzędniczą posadę.

– Sądzi pan, że ten artykuł wystarczy?

U Po Kyin nie odpowiedział mu od razu. Ciężkie sapanie oznaczało, że podjął próbę wstania z krzesła. Ba Taik znalazł ten odgłos. Wyszedł zza paciorkowej zasłony, razem z Ba Seinem chwycili U Po Kyina pod pachy i unieśli w górę. Brzuchaty U Po Kyin przez chwilę łapał równowagę niczym tragarz ryb poprawiający ładunek. Potem odprawił Ba Taika gestem dłoni.

– Nie wystarczy – odpowiedział w końcu na pytanie Ba Seina. – Z całą pewnością nie wystarczy. Jeszcze sporo pozostaje do zrobienia. Ale to dobry początek. Posłuchaj.

Podszedł do balustrady, wypluł jasnoczerwony sok betelowy, po czym, z rękami założonymi z tyłu, zaczął przemierzać werandę krótkimi krokami. Chodząc, przemawiał prymitywnym żargonem urzędników rządowych, mieszaniną birmańskich czasowników i angielskich abstraktów.

– Podejźmy do tej sprawy od początku. Przypuścimy wspólny atak na doktora Veraswamiego, lekarza i dyrektora więzienia. Obmówimy go, zniszczymy reputację, doprowadzimy go do ostatecznej ruiny. To będzie delikatna operacja.

– Tak, proszę pana.

– Nie będzie żadnego ryzyka, ale musimy postępować powoli. Nie występujemy przeciwko marnemu urzędnikowi czy konstablowi. Występujemy przeciwko wysokiemu urzędnikowi, a wysoki urzędnik, nawet Hindus, to nie to samo co marny klerk. Jak zniszczyć klerka? To proste: oskarżenie, dwa tuziny świadków, dymisja i więzienie. Tutaj jednak taka metoda na nic się nie zda. Delikatnie, delikatnie, delikatnie – oto mój sposób. Żadnego skandalu, a przede wszystkim żadnego oficjalnego dochodzenia.

Nie można wnosić żadnego oskarżenia, na które dalo-
by się odpowiedzieć, a mimo to w ciągu trzech mie-
sięcy muszę wbić do głowy wszystkim Europejczykom
w Kyauktadzie, że doktor jest zloczyncą. O co mam go
oskarżyć? Łapówki odpadają; lekarz ich nie przyjmuje.
Więc o co?

– Moglibyśmy zorganizować bunt w więzieniu – pod-
sunął Ba Sein. – Wina spadłaby na lekarza jako dyrektora.

– Nie, to zbyt niebezpieczne. Nie chcę, żeby strażnicy
zaczęli strzelać, gdzie popadnie. Poza tym za dużo by
kosztowało. Czyli musi to być nielojalność: nacjonalizm,
wywrotowa propaganda. Musimy przekonać Europejczy-
ków, że doktor hołduje anty-brytyjskim przekonaniom.
To coś znacznie gorszego niż łapówki; oni spodziewają
się, że miejscowy urzędnik będzie przyjmował łapówki.
Wystarczy jednak, że choć na chwilę zwątpią w jego lojal-
ność, a będzie zrujnowany.

– Bzdury, bzdury – powiedział U Po Kyin, bardzo
zadowolony. – Żaden Europejczyk nie dba o dowody.
Kiedy człowiek ma czarną twarz, podejrzenie JEST do-
wodem. Kilka anonimowych listów zdziała cuda. To tylko
kwestia uporczywości; oskarżaj, oskarżaj, nie przestawaj oskarżać:
oto metoda Europejczyków. Jeden anonimowy list po
drugim, kolejno do wszystkich Europejczyków. Potem,
kiedy ich podejrzenia zostaną wystarczająco rozbudzo-
ne... – U Po Kyin wysunął zza pleców krótką rękę
i pstryknął kciukiem i palcem. Następnie dodał: – Za-
czniemy od tego artykułu w *Burmese Patriot*. Europejczycy
podniosą krzyk oburzenia na jego widok. Cóż, na począ-
tek należy ich przekonać, że jego autorem jest doktor.

– To będzie trudne, dopóki ma przyjaciół wśród Eu-
ropejczyków. Kiedy są chorzy, wszyscy do niego chodzą.

Niedawno, podczas chłodnych dni, wyleczył pana Mcgregora z gazów. Chyba uważają go za znakomitego lekarza.

– Jak mało rozumiesz działanie europejskiego umysłu, Ko Ba Seinie! Europejczycy chodzą do niego tylko dlatego, że w Kyaktadzie nie ma innego lekarza. Żaden Europejczyk nie ma zaufania do człowieka z czarną twarzą. Nie, to jedynie kwestia wysłania dostatecznej liczby anonimów. Wkrótce dopilnuję, żeby lekarz stracił wszystkich przyjaciół.

– Jest pan Flory – zauważył Ba Sein. (Nazwisko wymawiał pan Porlej). – To bliski przyjaciel doktora. Zauważyłem, że ilekroć przyjeżdża do Kyauktady, każdego ranka go odwiedza. Dwa razy zaprosił nawet doktora na kolację.

– O, teraz masz rację. Gdyby Flory przyjaźnił się z doktorem, mógłby nam zaszkodzić. Nie jesteś w stanie wyrządzić krzywdy Hindusowi, jeśli posiada europejskich przyjaciół. To mu nadaje... jakie słowo oni tak uwielbiają? Prestiż. Jednak Flory szybko porzuci przyjaciela, kiedy zaczną się kłopoty. Ci ludzie nie są lojalni wobec miejscowych. W dodatku wiem, że pan Flory jest tchórzem. Zajmę się nim. Do ciebie, Ko Ba Seinie, należy śledzenie ruchów pana Macgregora. Czy ostatnio pisał do komisarza... mam na myśli: poufnie?

– Pisał dwa dni temu, ale kiedy otworzyliśmy list na parze, nie znaleźliśmy w nim nic ciekawego.

– No cóż, damy mu temat do pisania. Kiedy tylko nabierze podejrzeń wobec doktora, przyjdzie czas na tę drugą sprawę, o której ci wspominałem. W ten sposób... jak to mawia pan Macgregor? A, tak, „upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu”. Całe mnóstwo pieczeni... ha, ha!

Śmiech U Po Kyina był odrażającym bulgotem, do-
bywającym się z głębi brzucha, podobnym do początkowej
fazy kaszlu, a zarazem miał w sobie coś radosnego, wręcz
dziecięcego. Sędzia ani słowa nie wspomniał już o „drugiej
sprawie”, zbyt prywatnej, by rozmawiać o niej nawet na
werandzie. Widząc, że audyencja dobiegła końca, Ba Sein
wstał i uklonił się sztywno, jak złożona linijka.

– Czy wasza miłość życzy sobie czegoś jeszcze? – za-
pytał.

– Dopilnuj, żeby pan Macgregor otrzymał to wydanie
Burmese Patriot. Powiedz Hla Pe, żeby dostał ataku biegun-
ki i trzymał się z dala od biura. Będzie mi potrzebny do
pisanie anonimów. To na razie wszystko.

– Czyli mogę odejść.

– Idź z Bogiem – powiedział z roztargnieniem U Po
Kyin i natychmiast wezwał Ba Taika. Nigdy nie marnował
ani chwili. Błyskawicznie uporał się z pozostałymi peten-
tami, dziewczynę odesłał do jej rodzinnej wioski bez
wynagrodzenia, bo przyjrząwszy się jej twarzy, stwierdził,
że jej nie poznaje. Nadeszła pora śniadania. Punktualnie
o tej godzinie każdego ranka odczuwał gwałtowny atak
głodu.

– Ba Taik! Hej, Ba Taik! – zawołał niecierpliwie. – Kin
Kin! Moje śniadanie! Pospiesz się, umieram z głodu.

W salonie za kotarą czekała już na stole wielka misa
ryżu oraz tuzin talerzy z curry, suszonymi krewetkami
i plasterkami zielonego mango. U Po Kyin poczłapał do
stołu, usiał stękając i niezwłocznie rzucił się na jedzenie.
Jego żona, Ma Kin stała za plecami męża i mu usługiwała.
Szczupła kobieta w wieku czterdziestu lat miała sympatyczną, śniadą malpią twarz. Posiłający się U Po Kyin nie
zwracał na nią uwagi. Z misą przy nosie napychał się

szybkimi, zatłuszczonymi palcami, oddychając pospiesznie. Wszystkie jego posiłki były szybkie, namiętne i kolosalne; w zasadzie nie tyle posiłki, ile rozwiązałe orgie ryżu i curry. Po jedzeniu rozparł się, beknał i polecił Ma Kin przynieść zielone birmańskie cygaro. Angielskiego tytoniu nie tykał, twierdząc, że nie ma smaku.

Przy pomocy Ba Taika U Po Kyin przywdział formalny strój i przez chwilę podziwiał się przed długim lustrem w salonie. W tym wyłożonym drewnem pomieszczeniu wznosiły się dwa filary – nadal rozpoznawalne jako pnie drzewa tekowego – wspierające drzewo dachowe. Mroczne, obskurne pomieszczenie nie różniło się od wszystkich birmańskich pokojów, chociaż U Po Kyin urządził je „w stylu Inglaiek”, z fornirowaną komodą i krzesłami, litografiami rodziny królewskiej i gaśnicą. Podłogę wyłożono matami bambusowymi, poplamionymi sokiem z limonki i betelu.

Ma Kin siedziała w kącie na macie, szyjąc *ingi*⁴. U Po Kyin powoli odwrócił się przed lustrem, usiłując przejrzeć się od tyłu. Na głowie miał chustę *gaung baung*⁵ z jasnoróżowego jedwabiu, do tego krochmalone muślinowe *ingi* oraz *paso*⁶ z jedwabiu z Mandalaj w przepysznym kolorze lososiovym, ozdobione żółtym brokatem. Z trudem obrócił głowę i ukontentowany przesunął wzrokiem po lśniąącym *paso*, ciasno opinającym olbrzymie pośladki. U Po Kyin szczylił się swoją tuszą, widząc w niej symbol wielkości. On, niegdyś zapoznany i głodny, był teraz gruby,

⁴ Ingi – górna część birmańskiego stroju, często w wyrazistych kolorach.

⁵ Gaung baung – tradycyjna barwna chusta birmańska.

⁶ Paso – męski strój birmański z gładkiego lub prążkowanego materiału.

bogaty i budził lęk. Nabrzmał od ciał swoich wrogów; ta myśl wydała się mu niemal poetycka.

– Moje nowe *paso* za dwadzieścia dwie rupie było tanie, co, Kin Kin?

Ma Kin pochyliła głowę nad robótką. Ta prosta, staroświecka kobieta w jeszcze mniejszym stopni niż U Po Kyin przyswoiła sobie europejskie obyczaje. Nie umiała siedzieć na krześle bez uczucia niewygody. Każdego ranka udawała się na bazar z koszem na głowie, jak wieśniaczka, wieczorami widziano ją klęczącą w ogrodzie i modlącą w kierunku białej pagody górującej nad miastem. Od ponad dwudziestu lat była powierniczką intryg U Po Kyina.

– U Po Kyin, zrobiłeś w życiu wiele złego – powiedziała.

– Kogo to obchodzi? – U Po Kyin machnął ręką. – Moje pagody wszystko odkupią. Jest jeszcze mnóstwo czasu.

Ma Kin ponownie, krnąbrnie, pochyliła głowę nad robótką, jak zwykła czynić, gdy nie aprobowała postępowania U Po Kyina.

– Ale Ko Po Kyinie, po co te wszystkie intrygi i spiski? Słyszałam, jak rozmawiałeś na werandzie z Ko Ba Seinem. Zamierzasz wyrządzić krzywdę doktorowi Veraswamiemu. Czemu chcesz skrzywdzić tego hinduskiego lekarza? To dobry człowiek.

– A co ty wiesz o tych sprawach, kobieto? Ten doktor stoi mi na przeszkodzie. Po pierwsze nie przyjmuje łapówek, przez co wszystkim nam utrudnia życie. Poza tym... cóż, jest coś jeszcze, czego nigdy byś nie pojęła.

– Ko Po Kyinie, stałeś się zamożny i wpływowy, ale co ci to dało? Jako biedacy byliśmy szczęśliwsi. O, pamię-

tam, że kiedy pierwszy raz dostaliśmy własny dom, byłeś tylko urzędnikiem okręgowym. Jaką dumą napawały nas nowiuteńkie wiklinowe meble i twoje wieczne pióro ze złotą skuwką! Jak bardzo poczuliśmy się zaszczyceni, kiedy ten młody angielski oficer policji odwiedził nas, usiadł na naszym najlepszym krześle i wypił butelkę piwa! Szczęście nie tkwi w pieniądzach. Po co ci teraz więcej pieniędzy?

– Nonsens, kobieto, czysty nonsens! Zajmij się swoim gotowaniem i szyciem, a oficjalne sprawy zostaw tym, którzy się na nich znają.

– Sama nie wiem. Jestem twoją żoną i zawsze bylam ci posłuszna. Przynajmniej nigdy nie jest za późno, żeby zaskarbić sobie zasługi. Staraj się o zdobycie zasług, Ko Po Kyinie! Może na przykład kupisz żywe ryby i wypuścisz do rzeki. To daje wiele zasług. Poza tym, dziś rano, kiedy kapłani przyszli po ryż, powiedzieli mi, że w klasztorze są dwaj nowi kapłani, którzy głodują. Może im coś dasz, Ko Po Kyinie? Sama nic im nie dałam po to, żebyś zaskarbił sobie zasługi.

U Po Kyin odwrócił się od lustra. Apel żony nieco go poruszył. Nigdy, o ile nie wiązało się to z niewygoda, nie marnował okazji zdobycia zasług. Zasługi postrzegał jako swego rodzaju nieustannie narastający depozyt bankowy. Każda ryba wypuszczona do rzeki, każdy podarunek dla kapłana stanowił kolejny krok ku nirwanie. Ta myśl napawała otuchą. Kosz owoców mango przyniesiony przez nadzorcę polecił posłać do klasztoru.

Wkrótce potem wyszedł z domu i ruszył drogą, z Ba Taikiem niosącym za nim dokumenty. U Po Kyin szedł wolno, wyprostowany jak struna, by utrzymywać w równowadze pokaźny brzuch, trzymając nad głową żółty je-

dwabny parasol. Różowe *paso* polyskiwało w słońcu jak atlasowa pralinka. Udawał się do sądu, by rozpatrzyć sprawy przewidziane na ten dzień.

ROZDZIAŁ 2

Mniej więcej w czasie gdy U Po Kyin zaczynał swoje poranne sprawy, „pan Porley”, handlarz drewnem i przyjaciel doktora Veraswamiego, wychodził z domu do klubu.

Flory, trzydziestopięcioletni mężczyzna średniego wzrostu, był całkiem przystojny. Miał długie sztywne, kruczoczarne włosy, krótko przyszytych wąsy, a słońce obchodziło się litościwie z żółtawą skórą. Ani nie przytył, ani nie wylysiał, dzięki czemu nie wyglądał starzej nad swój wiek, za to twarz, mimo opalenizny, zdradzała oznaki wycieńczenia; policzki obwisły, znużone oczy się zapadły. Najwyraźniej tego ranka się nie ogolił. Ubrany był w tradycyjną białą koszulę, krótkie spodnie od munduru i skarpety, ale zamiast *topi*⁷ miał na głowie skośnie przekrzywiony kapelusz z szerokim rondem. W dłoni trzymał bambusową laskę z rzemieniem na przegub. Za Florym dreptał czarny cocker spaniel imieniem Flo.

Wszystko to jednak były drugorzędne elementy wyglądu. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się w oczy we Florym, było paskudne znamię w kształcie poszarpanego półksiężyca, biegnące przez lewy policzek, od oka do kącika ust. Oglądana z lewej strony, twarz miała podniszczony, żalosny wygląd, ponieważ granatowe znamię przypomina-

⁷ Topi – męskie nakrycie głowy na wschodzie.